~~W. Wolski~~
~~Al. Ujazd. 18 m 15~~

~~N. 51~~

~~Gazeta: „Mazurga"~~

1

Wacław Wolski.

Wczasy kosowskie

...Burzą kwiecia białego kipiąca na wiosnę,
W białej, rannej skąpana mgle wstaje Kosowa!...
Już chińskiego tam-tamu brzmią tony żałosne,
Niby śpiących rycerzy pobudka baśniowa,
A ja na ten magiczny zew duchem nie rosnę,
Od poduszki oderwać się nie może głowa,
A rozkosznie na łożu wyciągnięte ciało,
Pod ciepłymi kocami wieki by leżało!...

A tu Hryc, niby twardy c.k. biurokrata,
Biegający po uśpionym parku, jak szalony,
Budzi Kosów do życia z okrucieństwem kata,
Niby krwawych nieszporów sycylijskich dzwony!...
Hałasi, jak najęty, dzikiem tata, tata,
Niczem setne, ryczące naraz gramofony!...
Rzeczywiście, on po to głównie jest najęty,
Żeby spokojnie śpiącym ludziom czynić wstręty!...

Pod balkonem, jak piekło rozpętane, bębni!...
Poczekaj, ty przeklęty, ranny trubadurze!...
Niech się tylko Galicja nasza wyodrębni,
Będziesz za to na palu wił się, Hryciu-druże!...
Nim ta krwawa myśl w sennym mózgu się ustębni,
Patrzę w białego kwiecia wiosennego burzę,
Kipiącą pośród wróbli zbudzonych ćwierkania,
Na zielone gazony, które mgła przesłania!...

Próżno mnie do wstawania bodzie w duchu Yoga,
Niby metafizyczny tryk, z Eleuzis baran,
Próżno oszalałego Hrycia, Polski wroga,
Grzmoci w duszę bębniący, dziki, chiński taran!...
Żebym nawet, jak pamięć babki mi jest droga,
Ostracyzmem z Kosowa miał zostać ukaran,
Albo przez wieczność w piekle wdychać czułą pranę,
Na gimnastykę, godną Tworek, dziś nie wstanę!...

„Nie, nie, nie!"... – wyłem w duchu, kryjąc łeb w poduszki,
Łechtany w duszę twardym rożkiem Yogi skopa...
Nie mogę profanować czarów wiosny – wróżki!...
Przecież Galicja to jest bądź co bądź Europa!...
O, białem kwieciem wiśni zasypane dróżki!...
Dopiero przed śniadaniem dotknie was ma stopa!...
Jestem tydzień już na tem Pokuciu zapadłem,
Ale zdrowego sensu jeszcze nie porzbadłem!...

Janko, ja miałbym pod tym wiosennym błękitem
Cielesną moją nędzę rozbierać do naga,
Żeby w gronie nagusów, snadź wstydu pozbytem,
Machać kończy, jak tego nasz Lahman wymaga,
„Nasiadówki" na gołej ziemi czyniąc przytem,
[Z czego mężczy hart duszy rośnie i odwaga...],
Słysząc na wszystkie strony: „Servus!"... i „Co, proszę?..."
Nie, doprawdy, dziękuję za takie rozkosze!...

Już w kosowskim zakładzie zwolna ruch się budzi,
Słychać klapanie trepków po alei żwirze
I przeciągłe ziewanie niewyspanych ludzi,
Płynące przez otwartych na park okien nyże...
Ktoś narzeka, że tutaj na śmierć się zanudzi!...
Biegają pokojówki, jak sarenki chyże...
Trzaskają drzwi, raz po raz podłe skrzypią schody,
Czasem dojdzie parskanie przy myciu, plusk wody!...

I do mnie wpadł, jak ruska bomba, Hryć – oprawca,
By wziąść do okurzenia ubranie i trepki...
Nie tak patrzy duszona ofiara na dławca,
Jak ja tonąłem wzrokiem w jego duszy lepkiej!...
Ale woli doktora ślepy wykonawca
Nie pojął błagającej o litość zaczepki
I sięgnął po przewiewne, kosowskie ubranie...
Gest ten znaczył, że sługa wasz natychmiast wstanie!...

S.

Zacząłem stękać głucho: „Taki jestem chory!...
„Chyba już dziś dam sobie pokój z gimnastyką!...
„Idź, powiedz doktorowi, mój dobry Hrehory!"...
Ale na tę twarz tępą, okrucieństwem dziką,
Kołysaną przez szumy leśne Czarnohory,
Wypełzł wyraz, właściwy najupartszym bykom,
Połączony z uśmiechem, głupim niewymownie,
Co w sercu mem wściekłości białej zażegł głownie!...

Alem się pohamował, gdyż oczyma duszy
Ujrzałem, niby głowę wężową Meduzy,
Wizję twarzy z kamienia, której nic nie wzruszy,
Któréjby wszystkie razem nie zmiękczyły muzy!...
Czułem, jak pod tym wzrokiem mój upór się kruszy,
Jak cytadela buntu rozpada się w gruzy,
I że mnie ta hypnoza, jak padło ozłowiecze,
Niby trupa Hektora na ogród powlecze!...

A więc, ruchem tragicznym zdarłszy z siebie koce,
Wyskoczyłem z lenistwa pęt na równe nogi
I - mężnie - nie zważając, że z zimna dygocę,
Że mi ciepłe podeszwy ziębi lód podłogi,
[O, żarzące gwiazdami, górskie, chłodne noce!...
O, Hryciu ostupiały, durny, Polsce wrogi,
Czy nagości mej czary przygwoździły ciebie?...],
Umyłem się piorunem, parskając, jak źrebię!...

Poczem, jak tygrys ranny, wściekły, jednym susem
Wydarłem odzież, trepki z rąk słupowi soli,
Kłapiąc z zimna zębami w kosowskiem gżle kusem
I słuchając, jak tam-tam po parku dyndoli!...
[Hrycio, który był znanym na Rusi nygusem,
Wybębnianie kosowskiej, rannej Carmagnoli
Przekarał, kiedy do mnie biegł czyścić w te pędy,
Jednemu ze swej bosej, huculskiej komendy!...]

S.

Drugi bęben!... Jak rumak, gdy surmy bojowe
Zagrają, rwie wędzidło, parska, łbem wyrzuca,
Czuły na zgiełku bitwy bliższej wymowę,
Woń krwi i pył bojowy wciąga w chciwe płuca,
Niby najrozkoszniejsze te wonie stepowe,
Lub, jak Turridu, kiedy wabi go Santuzza,
Tak ducha mego nagle jakby w gębę trzasło,
Gdy usłyszał to drugie, pełne grozy hasło!...

I, gdyby nie to, żem jest skromny, jak dziewczyna,
Że mam poczucie wstydu wpojone od młodu,
Na zew chińskiego z piekła rodem tamburina,
Wybiegłbym, tak jak stałem, nago do ogrodu!...
Błyskałaby ma karma goła, z chłodu sina,
Niby w jakimś wstępie Orlanda rapsodu,
Gdybym pędził tak, szału podniecany batem,
Pośród wiśni, grusz, białym osypanych kwiatem!...

Nie dbałbym, że różowy, wonny kwiat jabłoni,
W wiosennem, rannem słońcu bosko uśmiechnięty,
Jeszcze bardziej na widok mej karmy się płoni,
Lecz gnałbym, jak smagany przez liktorskie pręty!...
Niech oświeconych drzewek wstydzą się w Japonji
Ogłupione przez dziki buddyzm dekadenty!...
Jabym sadził przez ogród, śmiejąc się pocichu,
Kosowski Orland w męzkiej karnacji przepychu!...

Lecz, żem jest pełnym sromu, niewinnym młodzianem,
Instynktownie przezwiewne naciągnąłem spodnie
I, pomógłszy Hryciowi do wyjścia kolanem,
[Gdyż nie chciał, gdym go skłaniał do tego łagodnie...]
Kończyłem się ubierać w tempie przyspieszanem,
Jak Holmes Sherlock, gdy krwawą jechał tropić zbrod-
[nię!...
Wdziawszy nowe, skórzane sandały w pośpiechu,
Biegłem śród warjackiego wdechu i wydechu!...

./.

Na głowę, od obawy spóźnienia płonącą,
Ranny wietrzyk otrząsał z drzewin wonne kwiecie,
Od biegu w niej się myśli chaotycznie mącą,
Jak w gwałtownie wstrząsanej, szklanej epruwecie!...
Nagle zrobiło mi się piekielnie gorąco,
Gdym się potknął o jakieś mauzoleum krecie!...
Gimnastyka już trwała od kwadransa blizko,
Gdy zziajany, spotniały wpadłem na boisko!...

Muzo, coś rozżarzała natchnienie w Homerze,
Gdy śpiewał w spiż okute na łydach Atrydy,
U obutych w sandały stóp Twych plackiem leżę
Pomóż mi tych nagusów, uzbrojonych w dzidy,
Opisać, wiewy ranku wiosennego świeże,
Igranie tabacznkowej, doktorskiej chlamidy
Z wiatrem, gdy nasz Zeus furtkę za sobą przymyka,
Gdy za płotem żydowska rzempoli muzyka!...

O, klasyczna, pamiętna, długa peleryno,
Z której władca Kosowa nagość swą wyłuszcza,
Faun bronzowy, siwy, z olimpijską miną,
Figura drobna, ale krzepka i żywuszcza,
Potem „raz, dwa!"... falangę nagą, z chłodu siną,
Mustruje, dech i wydech wpuszcza i wypuszcza,
Podnosi nogę, macha drągiem, kręci szyją,
Jego śladem pacjenci, jak węże, się wiją!...

Dziś nie było muzyki i głuche milczenie
Powitało me wejście, a doktór złowrogo,
Będąc oto widocznie w rysowniczej wenie,
Wielkie koło na piasku kreślił lewą nogą...
Wkrąg chorzy, erebowe, sine z zimna cienie,
Naśladują nagiego Grotgera, jak mogą...
Przygnębiony, zmieszany, żem przyszedł ostatni,
Jak delikwent, skradałem się cicho do „szatni"...

./.

Było w kącie boiska coś w rodzaju szopy,
Łatami zczerniałemi, spleśniałemi krytej,
Gdzie się szybko do naga rozbierały chłopy
Przed wejściem na kosowskich grów teren ubity...
Że jesteśmy naprawdę w pośrodku Europy,
Przypominałem sobie, trąc oczu orbity,
Na malignową wizję patrząc, co nie szczera,
I przybierając także wygląd Syngalera!...

Spazm bolesnego śmiechu zawsze mnie porywa,
Gdy obnażam swe kształty zwierzęcia Platona...
Dziś mroziła mnie mina doktora zjadliwa,
Wciągana przy wpuszczaniu tchu brzuszna opona
I porządnie siwawa już, meduzia grzywa...
Twarz, skurczem fanatyzmu ślepego skrzywiona,
W której płonęły oczka derwisza nieduże,
Zdawała się gromową zapowiadać burzę!...

Gdy z dużym drągiem, nagość swą sztukując ręką,
Wyszedłem na boisko, jak na plac tracenia,
Rozżarty gimnastycznie doktór gwizdał cienko,
Poddając oddychania rytm... Pośród milczenia,
Przyglądając się brzuchów wykręcanych męką,
Które w ruch wprawia gwizdu melodja syrenia,
[Danse du ventre syngalerki w słońcu wiosny złotem!...],
Skradałem się na zwykłe swe miejsce pod płotem...

„Dokąd? dokąd?"... – syk za mną pogonił złowrogi,
Niby Królikowskiego szept w tragicznej ciszy,
Aż się zgięły podemną biedne, gołe nogi... –
„Czy pan może rannego bębnienia nie słyszy?"...
„Czy pan może sentencje gimnastycznej Yogi
Tę i inne sentencje gimnastycznej Yogi
Ciskał za mną najdzikszy z Hygjei derwiszy,
Niby grecki atleta metalowe dyski,
Kiedy szedłem tak nago, z drągiem, płaczu bliski...

:/.

Dotąd było drukowane – to jeszcze nie!

Jedyny na doktora, najpewniejszy sposób,
Zaczerpnięty w kosowskiej mądrości cysternie,
Był: nie drażnić go wobec tylu nagich osób
I zachować się wobec jego obelg biernie!...
Wytrzymać z tym człowiekiem już było niesposób!...
Szedłem, jakby kolące, niewidzialne ciernie
Duch jakiś sypał hojnie pod me nagie stopy,
Oblewany przez wstydu szkarłatne ukropy!...

„Proszę postawić drążek!...” – zagrzmiał Torkwemada –
„Nie widzisz pan, że teraz gimnastyka brzucha?”...
Twarz, fauniczonym zarostem osędziała, śniada,
Piorunami wściekłości, niby wulkan, bucha!...
Śmiech tłumiła dyskretnie nagusów gromada,
Jakiś proboszcz czerwony i tłusty, jak klucha,
[Można go było poznać tylko po tonsurze...]
Aż ukrył gębę w łapy ordynarne, duże!...

Poprzysiągłem był sobie przed dniami kilkoma
Znosić do czasu dziką tą orgję terroru...
Więc, choć mnie odpowiedzieć mu brała oskoma,
By hamował napady swe złego humoru,
Gdyż mój system nerwowy także nieco chroma,
Okiełznałem porywczość prędkiego oczoru
I, wsłuchany w gwizdania uciesznego tony,
Nagi kadłub wprawiłem także w ruch szalony!...

Jakąż pyszną tworzyły na pejzażu plamę,
Nagie ciała tych brzuchem tańczących derwiszy!...
Boisko obramione drzew białych szramem...
Wokół wiosna świeżością, upojeniem dyszy!...
I, choć w słońcu plasają tylko brzuchy same
W nastrojowej, gwizdaniem przerywanej ciszy,
Czarowała mą duszę Apollina dziecka
Owa skąpana w bieli kwiecia wizja grecka!...

Wprawdzie — Boże się zmiłuj! — jakie to tam były
Te wijące się w dzikich torsjach nagie kształty,
Smutne, żywe hodowle artretyzmu, kiły,
Apoplektyczne szyje szlagonów z pod Bałty,
Którym najtrudniej dźwigać z miejsca brzuchów bryły,
Te c.k. mumje, posły, klechy i rybałty,
Co, odurzone groźną doktora powagą,
Na odkrytem powietrzu ćwiczyły się nago!...

Aleć zawsze to były nagie, białe ciała,
Niektóre ogorzałe już trochę od słońca,
Którym w krew nowe ciepło i życie wlewała
Ta wiosna, białem, wonnem kwieciem buchająca!...
Jak gniazdo węży, naga ta czereda cała
Kłębiła się!... Gdzieniegdzie karnacja gorąca,
Niby płomień, lub nimfa, śród białych drzew błyśnie,
I prószą na boisko białem kwieciem wiśnie...

Krzywych, omszałych, czarnych, wiśniowych gałęzi,
Przyodzianych w dziewiczą biel, baśniowy cudzie!...
Wasz czar wonny dotychczas duszę moją więzi!...
Śród tej wizji wiosennej nadzy, śmiertelni ludzie,
Z których niejeden, niby konający, rzęzi,
Wytańcowując sobie palmę w krwawym trudzie
Miotającym się dziko, tłustym, nagim brzuchem!...
Czyż mogę was wspominać teraz z okiem suchem?...

O, kosowskich pacjentów nagie, białe karmy,
W chłodnych, świeżych refleksach wiosny ukąpane!...
Nim w aniołów przerobią was jarskie pokarmy,
Nim wchłoniecie powietrza karpackiego pranę,
Pachnącego cudowniej, niż fijołki z Parmy,
Nim się zmienicie w rzeźby, ze spiżu kowane,
Jakie zaś tymczasem wzrok czuły estety
Wasza brzydota, tłuste i chude szkielety!...

Długo jeszcze brzmieć muszą tutaj chińskie gongi,
Długo skrzeczeć rankami doktora głos żabi,
Nim was, ludzkie parodje, zamieni w posągi!...
Długo musicie imać się łopat i grabi,
Długo kąpać się w Huku, długo jadać pstrągi,
Unikając, jak ognia, dalilości babiej,
Także pławić się nago w powietrzu i słońcu,
Nim będziecie do czegoś podobnymi w końcu!...

Tak myśląc, wywijałem mym gołym kadłubem,
Na który wietrzyk strząsał białe kwiecia płatki,
Zamieniając się w jakąś żywą, białą śrubę
I w furji gimnastycznej klepiąc się w pośladki!...
Naprożno nagus z ciałem czerwonem i grubem
Trącał mnie ostrzegawczo [doktór słuch miał rzadki!...]
Znów zostałem przez mistrza napomniany czule,
Żem po warcholsku złamał milczenia klauzulę!...

Więc po raz drugi ledwie że uszedłem z życiem,
Dalej wijąc się brzuchem w skupieniu nabożnem!...
[Ale były zabiegi, połączone z wyciem,
Jakby nas dźgano z tyłu rozpalonym rożnem!...]
I można wytłomaczyć wiosną się upiciem,
Żem przepomniał zupełnie o ćwiczeniu nożnem,
Którem terroryzował doktór męzkie Nany,
Miotający się dziko, jak derwisz pijany!...

Trzeba by tu Dantego przyprowadzić z piekła,
By opisał te ciałem odziane szkielety,
Rzucające się, niby horda Hunnów wściekła,
Pod wpływem spienionego kumysu podnięty!...
Potępieńcza ta wizja tak mnie znów urzekła,
Że ostupiały, jakby opiwszy się Lety,
Oczarowany gwizdu cichego muzyką,
Zaniedbałem powinność: machać nogą dziko!...

Ale i mnie z kolei ktoś porządnie prażył,
Wkładając w tę torturę z piekła całą duszę!...
Paru żółtych, jak baby, kleszych dygnitarzy
Oklepywało wzajem swe cielska ropusze,
Baraszkując ze sobą, jak na morskiej plaży!...
Ktoś kogoś chwycił za kark i trzęsie, jak gruszę!...
Nawet sam Agamemnon rozchmurzył się cości
I popuścił Achajom popręgu karności!...

W dalszym ciągu nakazał pochód dla rozgrzewki!...
Rozlegało się „Sokołów Marsza" dzikie wycie,
Głusząc zgłupiałych wróbli ćwierkające śpiewki
I o pomstę do Boga wołając w błękicie!...
Najgłośniej darł się szlagon z Ukrainy krewki,
Bo to „panie bdziu, u nas bywa rozmaicie,
„A więc trzeba używać!..." Nie żałował gardła,
A za nim cała horda nagusów się darła!...

Długo brzmiałby ten dziki pean na cześć wiosny,
Pośród białego kwiecia wiśniowego burzy,
Niby potężny wybuch ekstazy miłosnej
Na jakiejś złotej uczcie, gdzie się ze łbów kurzy,
A odbrzmiewałby echem nieb błękit radosny,
Który miał także rozmach do śpiewania duży,
Wtórząc każdej wyjącej, gołej, męskiej Nanie,
Gdyby nie dzwon, dający hasło na śniadanie!...

Możesz dośpiewać sobie w duszy, czytelniku,
A śpiew twój niech ołówkiem dopełni Gavarni,
Ile tam być musiało „radości i krzyku";
Gdy tłum naguśów pchał się do „kontramarkarni";
Gdzie hygjenicznych spodni wisiało bez liku,
Kosowskich kurtek, sutann, jak coraz bezkarniej
Tu poczynała sobie dryblasów tych sfora
Rozpuszczonych, nie czując nad sobą doktora!...

Zaklapały w alejach parku miłe trepki,
Płyną gwarne rozmowy, żarty, damskie śmiechy...
Paniom mrużą się jeszcze z niewyspania ślepki,
Ale błyszczą, jak niebo, z wiosennej uciechy!...
Jak ci, którym się w głowach pomięszały klepki,
Pędzimy do jadalni, żeby gryźć orzechy,
Żuć chleb razowy z miodem, co po brodzie ścieka,
Zamiast rozgrzać się szklanką gorącego mleka!...

Lecz „niechta, niechta!"... Niech z owoców marmolada,
Kiedy już na to przyszło, pokrzepia nam ducha!...
Tu, gdzie się mięsa prawie zupełnie nie jada,
Musi dobrze przyjętą być „dyjeta sucha!"...
Człek, jak głodomór, z ciała coraz bardziej spada...
Dobrze tłuściochom, kiedy im ubywa brzucha,
Ale powiedz mi, radco mój, co za przyczyna,
Byś ty miał gwałtem czynić z siebie Piotrowina?...

Tak mniejwięcej kwiliłem w duchu sam nad sobą,
Obrzydliwe orzechy włoskie miażdżąc dziadkiem
I z rozpaczy, choć mienię się gynajkofobą,
Emablując zawzięcie nadobną sąsiadkę,
Której także cień jakiś lica krył żałobą,
A czyniłem to nawet z przejęciem się rzadkiem,
Tańcząc duchem błazeńskie przed nią menuety,
Topiąc w niebie jej oczu mój honor ascety!...

Ktoś koło nas, co też był na „suchej dyjecie",
Jak Piekarski na mękach, plótł o „Królu Duchu";
O mającym przyjść kiedyś na świat Paraklecie,
A tutaj nam obojgu wściekle kruczy w brzuchu!...
Byłbym w delirium wyznał miłość tej kobiecie,
W nieskoordynowanym duchowym odruchu,
Gdyby nie to, że moja blada heroina
Nagle wstała, jakby ją wysadziła mina!...

Poczem szepnęła nagle: „W panu ma obrona!..".
Ale już był koło nas doktór w kurtce szarej,
Co go czyni podobnym do Napoleona,
I, jak grzechotnik, wzrokiem rzucał na nią czary!...
Siadła bezwładnie, w siebie duchowo wtulona,
Z miną mającej zostać potkniętą ofiary!...
Lecz Alba we wściekłego fanatyzmu szale,
Jak opętany, skrzeczał już na całą salę:

„Tyle razy prosiłem najusilniej panie,
„Żeby nosiły tutaj bluzki bez kołnierzy,
„Które krępują szyję, tłumią oddychanie...
„I znowu niekarności mamy przykład świeży!...
„Gdy nie obchodzą prośby moje pannę Manię,
„To, niby upartego żubra z Białowieży,
„Do posłuszeństwa gwałtem!..". W te słowa surowe
Rozpoczął, dalej wściekłość zdusiła mu mowę!...

Szczęście jeszcze, że nie miał dziś przy sobie noża!...
Wczoraj wyrwaną chłopcu z ręki laubrzegą
Zdarł parę skalpów z bluzek!... Kozak z Zaporoża!...
Nie, dla tego człowieka niema nic świętego!...
Zmartwiała z przerażenia panna Mania hoża...
Po zbladłej twarzy dwie, jak grochy, łzy biegą,
Przyczyniając uroku dziewiczej jej krasie...
Widokiem jej przestrachu nasz Alba się pasie!...

Było śród nas szlachetnych entuzjastów grono,
Do którego dostałem się, jak Piłat w Credo,
Co po śniadaniu, z miną płaczliwie-natchnioną,
Króla-Ducha zgłębiało tajnie z wielką biedą,
Kryjąc się przed Cezara Kosową personą,
Jak w chajderze bachury brudne małamedom,
Przysłuchując się grubych wtajemniczeń pranie,
Niby Trzeciej Epoki pierwsi chrześcijanie!...

A więc kwaśny, skrzywiony głupio, jak nieszczęście,
Jak po ogórkach, a nie po orzechach z miodem,
Spazmatycznie w kieszeniach zaciskając pięście,
Znowu pędziłem białym od kwiecia ogrodem,
Przy żwiru, miażdżonego sandałami, chrzęście,
W burzy krwi, szalejącej w mojem ciele młodem,
Z gołą głową, jak warjat, lecz nie na rendez-vous,
Tylko Apokalipsy polskiej słuchać śpiewu!...

Za tonącą w bzach wonnych, złocistą kaplicą,
Było w cieniu zaciszne, przytulne ustronie,
Gdzie, związani magiczną, słodką tajemnicą,
W łunie żaru, co w oczach entuzjastów płonie,
Poiliśmy się pieśnią, która błyskawicą
Świeci, śród ryku morza grzmi w muszle trytonie,
Z której krwawozłune, płomienne rapsody
Ja, jak złoto, wiodące w przyszłość Polski schody!...

Widzę duchem natchnioną lektorkę-Sybillę
W różowego szlafroczka muślinowym cudzie!...
Wiosenny zefir muska kartki księgi mile,
A my słuchamy, niby jacyś inni ludzie,
A nie te białe, z sierści obłazłe goryle,
Co tak niedawno jeszcze w męsi krwawym trudzie,
Pośród białego kwiecia wonnej zawieruchy,
Konwulsyjnie swe głodne wykręcali brzuchy!...

W białych krzakach bzu szare ćwierkają wróbelki,
Inne skaczą, śród cieniów rozchwiej, po żwirze...
Chwali Wieszcza Narodu wcielony duch wszelki...
Park gędzi, jak stepowy, ruski did na lirze...
Tak ciemnieją złociście ścian kaplicy belki,
W rozchwianych refleksów zielonawych wirze,
Tak muska wietrzyk włosy czytającej damy,
Jakby to nie był Kosów, lecz raju sezamy!...

Na półkolu ławeczki, śród bzu wonnej bieli,
Siedzimy, czarem wizyj z płomienia zaklęci,
Przerobieni z orzechów zjadaczy anieli...
Z tak pobliskich płynęły wonie sianożęci,
Gędził w czytania ciszy nabożnej brzęk pszczeli...
Upojeni, przez ducha Wieszcza uniebowzięci,
Unoszeni przez boskich marzeń złote łodzie,
Śniliśmy w białym, wonnym, kwiecistym ogrodzie!...

I gdyby piorun w siarki zapachu i w dymie
Nagle z jasnego nieba runął nam pod stopy,
Gdyby trzęsienie ziemi w Kosowie olbrzymie
Pochłonęło nas z ławką, lub wrzące ukropy
Wylało nam na głowy kotła czarne wymię,
Gdyby czarne z pod ziemi wyszły Etyjopy,
Mniejby nas najstraszliwsza przeraziła zmora,
Niż wychylona z białych bzów wizja doktora!...

... Różowego negliżu mgłą owiana, blada,
Osłupiała, z zamarłą na ustach oktawą,
Jak spłoszona leśnego ustronia dryjada,
Zasłoniła się w cudnym ruchu ręką prawą,
I szepnęła wargami pobladłemi: „Zdrada!...”
Niby faun w kurtce szarej, poplamionej trawą,
Zbronzowiały, o siwej, skołtunionej grzywie,
Eskulap patrzył na nas w milczeniu, zjadliwie...

S.

Nagle wybuchnął: „A ja tu w głowę zachodzę,
„Gdzieście się państwo wszyscy tak raptem podzieli?...
„A tu oni po uszy pogrążeni w Yodze!...
„Cóż to za nieład?... Ruszać zaraz do kąpieli!..."
I, wściekły, blady, książkę z rąk wyrwał niebodze,
W passji na czem świat stoi klnąc tych marzycieli,
Tę całą „modernizmu" chorobę angielską,
Którą trzeba wyplenić, jak szkodliwe zielsko!...

Brutalnie, za kark z nieba ściągnięci na ziemię,
Zmyte przez Eskulapa pospuszczawszy głowy,
Wlekliśmy się przez ogród, jak przeklęte plemię,
Do Łazienki, gdzie czekał, jak kat, kąpielowy!...
Lektorka w obrażonej dumy dyademie,
W różowego szlafroczka feerji baśniowej,
Szła oddzielnie po żwirze chrzęszczącym gdzieś blisko,
Migając śród drzew białych, jak senne zjawisko!...

A mnie prześladowała zmora idée fixe'y,
Że ta Sybilla, Wieszczów natchniona tłomaczka,
Za chwilę, z miną drżącej, sinej z chłodu niksy,
Będzie także chlapała się w wodzie, jak kaczka!...
Jakby podziemne miały nas pochłonąć Styksy,
Tak straciła kontenans cała nasza paczka,
A umęczone ciała kuliły się gnuśnie
Przed zimną wodą, co je za chwilę ochluśnie!...

A jakby na złość, miałem dziś polanie brzucha!...
Święcie mu się należy wprawdzie ta ochłoda,
Gdyż się dzisiaj wytańczył zrana, jak dziewucha,
Lecz mi go do tej końskiej hydropatji szkoda!...
Czy zaś mruk-kąpielowy próśb moich wysłucha
I do kubełka trochę ciepłej wody doda,
Czy się to jakoś wszystko pomyślnie ułoży,
Skoro mam zimny zabieg, wątpi kościół Boży!...

S.

Często tu na największe błagania są głusi!...
Przytem władca Łazienki, Pluton wody piekła,
Wściekły, że na nas zawsze długo czekać musi,
Spełni ściśle, co Pythja doktorska wyrzekła!...
Z drżeniem na swoją kolej czekają nagusi!...
Szyby prędzej z kamienia gorzka łza pociekła,
Chociaż tego coprawda trudno jest wymagać,
Niżby drab ten ponury dał się dziś przebłagać!...

Jak na furjatów, na nas zimna woda chlusta!...
Piekło - zgrzytanie zębów - potępieńcze jęki!...
Mieliśmy wszyscy pełne dzikich przekleństw usta,
Ryczeliśmy, jak osły, z tej nadludzkiej męki!...
A mój brzuch, rozciągnięty na łożu Prokrusta,
Zsiniał od polewania, jak bzu wonne pęki,
Co leżały przez kogoś rzucone na oknie,
I może z wściekłej passji, że tak długo moknie!...

Z gniewu, z zimna, z pośpiechu ręce mi się trzęsły,
Kiedym się po zabiegu ubierał piorunem,
Niby krowa, czochając o mur brzuch zaklęsły,
Czując, że zdrowych zmysłów mych przeciągam strunę,
Że wstrząsam lekkomyślnie świadomości przęsły!...
Musiał ujrzeć w mych oczach krwawą szału łunę
Posępny, muskularny pachoł Torkwemady,
Gdyż ustąpił mi z drogi, jakby z grozy blady!...

Niby byk, rozdrażniony tym końskim zabiegiem,
Wypadłem znów na ogród, śnieżny w kwiecia bieli,
Żeby rozgrzać się po tem ochłodzeniu biegiem!...
Przedemną biegli inni i straszliwie klęli!...
Białe drzewa prószyły na nas płatków śniegiem...
Czasem wonne powietrze przecinał brzęk pszczeli...
A my, zamiast się cieszyć wiosną, życiem młodem,
Niby kiepskie warjaty, gnaliśmy ogrodem!...

./.

Nessun maggior dolore!... Tutaj błękit bucha
Białą, kipiącą pianą, czarem słodkich woni,
Oszałamia wprost blasków, cieni zawierucha,
A człowiek, jak pies, który własny ogon goni,
Zamiast spokojnie czytać dalej „Króla-Ducha",
Cwałuje po ogrodzie!... Cichą łzę uroni
Niejedna nad tą podłą dolą czytelnica,
Która karty niniejsze uwagą zaszczyca!...

W cichym szumie muślinów, w szeleście jedwabi,
Pędzą, niby warjatki, albo samochody,
Piękne damy, na obraz żywych żwiru grabi,
Błyszczące, niby rosą, kropelkami wody,
Która jeszcze powiększa czar baśniowy, babi
I rozpala żądzami mój organizm młody,
Dolewając szatanisko do ognia oliwy,
Kiedy tak po alejach brykam niecierpliwy!...

Oto nawprost mnie pędzi całą siłą pary
Potargany i zmięty w wodzie kwiat — Sybila,
W różowego szlafroczka przyodziana czary,
W szybkim oddechu kielich wonnych warg rozchyla...
Na żwir alei cedzi się blask złotożary...
Inem być mogła spotkania takiego idyla,
Pośród białego kwiecia wiosennego śniegu,
Gdyby przed tem nasz nie był „zuchem po zabiegu!"...

O, złośliwy demonie, życia szara prozo,
Co łapskami czerwonej, ordynarnej baby
Pławisz w łazience ciała Dulcynej z Toboso,
Że tylko czasem stamtąd słychać okrzyk słaby,
Wywołany silniejszą hydropatji dozą,
Jakby ludzkie błagały zmiłowania żaby,
Jakby jakaś tam była popełniana zbrodnia,
Którą potem Holmess Sherlok długo udowodnia!...

Minęliśmy się z cudnem, baśniowem zjawiskiem,
Niby dwa rozpędzone warjacko bicykle...
Czułem, że me ja biedne obłędu jest bliskiem
I że w mózgu pękają mi rozsądku brykle
Na myśl, jakiem być muszę tutaj pośmiewiskiem
Z moją figurą, ciemną i długą niezwykle,
Co się od tła kosowskich nagusów odcina,
Jak na szmelc wyrzucona parodja Longina!...

Gdy minął przepisany kwadrans „mięśni ruchu";
Przestałem biegać, niby owca kołowata,
Zanurzyłem twarz w chłodnym, białym kwiecia puchu,
Jak Japończyk, gdy z drzewem na wiosnę się brata,
Jakbym święta Komunję Przyrody brał w duchu,
I żaden wodny zabieg Hydropatji Kata
Nigdy tak tajemniczo człeka nie pokrzepi,
Jak gdy się całem ciałem do drzewa przylepi!...

Lubię, stojąc pod drzewem, niby kora korę,
Obgryzać z pnia zastygłą w łzy, wonną żywicę,
W ten, godny Tworek, sposób lecząc serce chore,
Jakieś z baśni królewny marząc sinolice,
Które spłyną po smudze księżyca wieczorem,
[A każda z nich niesiona w złocistej lektyce...]
I uśpią mękę ducha złotej wiosny czarem,
Jak złocistych bajader, nimf baśniowy harem...

Przeklęta, demoniczna potęgo marzenia!...
Tutaj nalany złotem słońcem błękit Boży
Białem, wiosennem kwieciem, jak bajka, się spienia,
A w mej duszy się wiją księżycowe twory,
Jakaś psychopatyczna, obłędnie-syrenia,
Niby sen błądzącego po krużgankach doży,
Gdy księżycowy, senny blask ściele się gnuśnie
Po lagunie, którego słaby wiew nie muśnie...

Zamiast chłonąć przyrodę teraz, w pauzę długą,
Kiedy nas kuracyjne popuściły szpony,
Idę marzyć na jawie do klatki z papugą,
Nurzać się w barwie ptaka baśniowo-zielonej,
Służąc za pośmiewisko chichoczącym sługom,
W asystencji czerwonej, jak rak, niemki-bony,
Gdy, jak idjota, albo bezrozumny malec,
Między złociste pręty wkładam duży palec!...

Papuga na mnie ślepia bezmyślnie wyłupia,
Od siedzenia w złoconem kole osowiała...
A ja drażnię jej nerwy, krzycząc: „Koko głupia!",
Żeby od passji jeszcze bardziej zzieleniała!...
Była w tych figlach jakaś beznadziejność trupia...
Ptaszysko, jak baśń Wschodu, zielenią piór pała,
Na złocistej huśtawce sennie się kołysze,
Niby przed opętaniem tureccy derwisze!...

Może jej roześmiane przypomniało słonko
Mieniącą się baśniowo, tęczową barw burzę
W dzikiej puszczy dziewiczej gdzieś nad Amazonką...
W zieloną baśń papugi patrząc, oczy mrużę,
Które jakby powlokły się szklistą też błonką...
Razem z Koko na jawie śni chłopisko duże,
W beznadziejnej depressji do ziemi przygięte,
W jakiejś tępej apatji, w dantejskiem _far niente_!...

I trzebaż było, żeby w takiej właśnie chwili
Widmo posępne, siwym mchem porosłe, wraże,
Pochylone, jak w piekle nad Dantem Wirgili,
Zaskrzeczało mi w ucho: „Znowu się pan marzę?"..
Starty został z nastroju puch zwiewny, motyli,
Gdy przy złocistej klatce, żem papugą, marzę,
I chamska rzeczywistość w furji ślepej, głuchej
Znów dławić mnie zaczęła grubemi paluchy!...

/.

Lecz, że nadrabiać miną było mą zasadą,
Udałem, że nie słyszę brutalnej zaczepki,
Instynktownie zwróciwszy twarz, z wściekłości bladą,
W stronę, gdzie się żarzyły czarne bony ślepki,
Złorzecząc bajronicznie podłym, ludzkim gadom,
Jak ktoś, komu się w głowie pomieszały klepki,
Na złość Larwie o siwej, skołtunionej grzywie,
Co mi się przyglądała drwiąco, urągliwie!...

Więc, żeby w tem zmaganiu się nie być pod spodem,
Wspiąłem ducha, zebrałem wszystkie magji siły,
Ścisnąłem w garści kozią, djonizyjską brodę
I ślepia moje w faunią twarz Alby się wpiły,
Co wściekłego szyderstwa mroziła mnie lodem!...
Krwią nabiegłe na czole pękały mi żyły,
~~Gdyśmy duchem tarzali się w strasznym uścisku,~~
~~Kiedy ducha doktora grzmociłem po pysku!...~~
Kiedyśmy się tarzali we wściekłym uścisku,
Jak rozżarci szampjoni po cyrku boisku!...

Jak dwaj magji atleci, zwaśnieni augury,
Rozeszliśmy się w dzikiem, ponurem milczeniu!...
A w sam czas się to stało!... Nie wytrwałbym dłużej
W tem szamańskiem duchowej mocy natężeniu!...
Niby włoski lazzaron, gdy go upał znuży,
Poszedłem do pokoju, by odpocząć w cieniu,
Wbrew Alby zakazowi, nachłeptać się wody
I znów się w „Króla Ducha” pogrążyć rapsody!...

Boskie słońce przeszyło dukatowem złotem
Na obielone kwieciem wiśniowem drożyny,
Nad pociesznym zrywając boki Don Kichotem,
Śmiejąc się całą gębą z jego smętnej miny,
Jak bogowie Homera pod niebios namiotem,
Gdy bawiły ich krewkie Grecji, Troji syny
Swojemi cierpieniami, swarami i smutkiem,
Jakby o to chodziło w ludzkiem życiu krótkiem!...

Niby pałac baśniowy, śni w białej drzew pianie,
Złocista, zakopiańska willa dwupiętrowa...
W porannej ciszy płynie zkądś pianina granie...
[Jakaś mara przed żarem słonecznym się chowa...]
Byłem chory... Ból jakiś strzykał mnie w kolanie,
Od biegania po stolicy płonęła mi głowa...
Więc, niby szkapsko, które szmat drogi przebiegło,
Zaledwie przekroczyłem próg, padłem na legło!...

W skroniach młotem waliły mi pulsa, krwią wzdęte,
W sercu wzbierała wściekłość, dziki żal do ludzi...
To zasromanej bony dziewiczą pompę
Pochłaniam, to znów chłodna biel kwiecia mnie studzi...
To mary mi się słodkie z papugą far niente,
A ludzie mi się zdają jacyś obcy, cudzy...
I wiele mi się jeszcze innych rzeczy marzy,
O których śnić zabronił Alba śniady, wraży...

Wtem z dołu, z morza wonnej, białej kwiecia piany,
Przez otwarte na ogród, szklane drzwi balkonu,
Usłyszałem głos jakiś ochrypły, pijany,
Coś niby zepsutego charkot gramofonu,
Lub kłótni, dochodzącej z za szynkowni ściany...
Więc, przerwawszy wchłanianie prany, czy ozonu,
Jak człowiek, z sennych marzeń zbudzony do jawy,
Wyjrzałem, kto tam drze się na dole, ciekawy...

To stróż Szczepańskiej ledwie że na nogach stoi
Z siwą głową, pociesznie zadartą do góry,
I wrzeszczy, niby wizja obłąkańca Goy'i,
Którąby ktoś powoli obdzierał ze skóry,
Skierowawszy zamglony wzrok ku klitce mojej
I nos gruby, potężny o barwie purpury,
Jakby mi miał zwiastować przyjście Parakleta,
Lub inne jakie cuda: „Hej, panie poeta!..."

:.

Wściekły, że ten pijany bałwan mnie ośmiesza,
Skrywszy się w głąb pokoju, wróciłem na łóżko
I, żeby pijackiego nie słyszeć kurdesza,
Przydusiłem nieszczęsną mą głowę poduszką,
Wierzgając pedałami z wściekłości!... Już rzesza
Znudzonych kosowczyków, jakby magją - wróżką
Wywołana z pod ziemi, w głos, z całego gardła,
W ciszy parku: „Hej, panie poeta!..." się darła!...

Oczywiście, jedyna tutaj była rada
I wyjście z tego piekła: udać, że mnie niema!...
Rozbawiona czereś w coraz większy zapał upada,
A pocącej się gębie mej grozi egzema,
Zaś umysłom, obcęgami szarpanym, — zagłada!...
Jak szuler, co wpadł głupio na wielkiego szlema,
Przytłoczony tych wrażeń obłędnych nawałem
I z gorąca piekielnie duszący się, zemdlałem!...

Gdym się zbudził z omdlenia, wokół było cicho...
Tylko czasem zaćwierkał w parku wróbel senny...
Podbechtało naszego Albę jakieś licho,
By mnie wciągnął na listę kosowskiej Gehenny
Z tym tytułem, niebieską podmaczonym krechą,
Który nie wart jednego angielskiego penny,
Skoro nosi go tylu Poezji Freischütz'y,
Czcz który utkwił we łbie ~~[illegible]~~ pijanicy!...
~~stróżowi~~ — pjanicy!..

W białego, mdlejącego parku żarnej ciszy
Bardzo rzadko po żwirze zaskrzypią sandały...
O tej porze kosowski cały konwent mniszy,
Wszystkie pacjenty nago na stołach leżały!...
Nasz Alba, który, jako trawa rośnie, słyszy,
Gotów tutaj przyjść po mnie, z wściekłości zsiniały!...
Gdym na tę nową mękę z pokoju wychodził,
... Przeklinałem dzień, w którym się na świat narodził!...

/.

Gdym się wlókł, jak na ścięcie, mrocznym korytarzem,
Wyszło zkądsiś wprost na mnie takie wiosny cudo,
Że uczułem miłosnych, nowych ciężar jarzem!...
...Fjołkami ciemnych oczął moją postać chudą
Obrzuciła przelotnie... Boską Nizzy plażę
Uczynił jej postaci sen, zamglony nudą,
Z tego farbą olejną cuchnącego mroku!...
Całą duszę Tantala skupiłem we wzroku!...

Było to coś, jak słynna schadzka Don Juana
W blasku księżyca z księżną Fitz Fulke uśmiechnięptą!...
Primavera, co, słońcem i szczęściem pijana,
Przyszła porwać mnie z sobą na Ver Sacrum święto!...
Mógłbym przysiądz, że nawet doktora-tyrana
Opętałaby dziką, szatańską pompą!...
Jej podobnej nie było pośród ludzkich gromad!...
Patrzę w nią, niby w tęczę, szedłem, jak automat!...

Nagle którejś drzwi w mroku z trzaskiem się otwarły,
A z nich pijany Cerber wyszedł, jak z pod ziemi...
Jak wobec ducha Banka, stanąłem zamarły...
Drab spojrzał na nas błędnie oczami szklanemi
I z gracją (jego ruchy w pamięć mi się wżarły!...),
Podczas gdyśmy tak stali, z osłupienia niemi,
Sprezentował mi damę, poczem (losie krwawy!...)
Zachrypiał: „Pan X... Y..., poeta z Warszawy!..."

Chciałbym się w owej chwili zapaść pod podłogę!...
I czując, że bezsilną wściekłość mną owłada,
Od wybuchnięcia śmiechem wstrzymać się nie mogę!...
Jej perlistego śmiechu oddźwięku kaskada!...
Przyzywałem na pomoc całą Hindu Yogę,
By orzekła, co teraz mi czynić wypada,
By jej się nie przedstawić, jak bałwan ostatni,
Jak wyjść, mówiąc poprostu, z tej piekielnej matni?...

./.

W końcu, czując, że jestem, jak burak, czerwony,
Wyjąkałem: „Przepraszam", czy też coś w tym guście,
I, podobny do ciętej przez bąka Iony,
Zbiegłem szybko przez schodów skrzypiących czeluście
Do parku i pędziłem, skacząc, przez gazony,
Krzycząc w duchu do furyj dzikich zgódź: „Nie kuście!..."
Lecz wszystko mi, jak na złość, o miłości śpiewa,
Gdy, jak pijany warjat, tłukę się o drzewa!...

Niby faun, umurany w trawie, w kwiecia bieli,
Zadyszany, spotniały, wpadłem na boisko,
Gdzie bezwstydni nagusi, jak byki, leżeli
Na pryczach, ciemniejących tuż nad ziemią, nizko,
Pławiąc się w tej słoneczno-powietrznej kąpieli...
Niby w twórcach ateńskich obtędnym igrzyskom,
Sprawianym przez oblazłe ze szerści goryle,
Przyglądałem się dzikiej tej wizji przez chwilę!...

Paru nagusów, niby greccy niewolnicy,
W cieniu białych drzew puste obracało żarna...
W cieniu białych drzew puste obracało żarna...
Tłuścioch-prałat, co tarzał się w słońcu na pryczy,
Stękał głucho, okropnie, jak baba ciężarna!...
Inny komik, nadradca z Mościsk śniadolicy,
Przeskakiwał przez drabów leżących, jak sarna,
Błyskając w złotym żarze twarzą ciemną, trupią,
Białą ciała i śmiejąc się bezmyślnie, głupio!...

Dziś jeszcze śmiech obłędny, furjacki mnie bierze,
Kiedy sobie przypomnę inną mękę Nanę,
Jak jeździła śród nagich tych cielsk na rowerze,
Wyprawiając kadłubem wprost sztuki tamane!...
Krwisty szlagon wył, ryczał ze śmiechu, jak zwierzę,
Grzmiąc gołemi piętami w wszystką płotu ścianę,
Tak rozśmieszał go żwawy poseł na traperze,
Co się już nawywijał koziołów, ile wlezie!...

/.

Od tych sprośnych gzów, gwaru piekielnego zdala,
W cieniu białych drzew chodził wolno z miną maga
Mistrz Gaudenty, do spółki z nim ducha wyzwala
Akademja kosowska, grupa drabów naga...
Płynie wymowy Mistrza niewstrzymana fala,
Śniżowanych golców żar dziki się wzmaga,
Kiedy mu przysięgają pobladłemi usty
Powstrzymać się od wódki, tytoniu, rozpusty!...

A któremuś z nich dobre podszepnęły wróżki,
Że, uczyniwszy w duchu dla Polski ofiarę,
Poprzysiągł odtąd wcale nie jadać pietruszki!...
Tak bawiły się w świętość z nudów dzieci stare,
A niektórzy z nich mieli brzuchy, jak poduszki!...
Święta Wiosna buchała białym kwiecia czarem,
Złotożarego słońca jaśnieniem baśniowem
Nad tym gwarnym, wizyjnie nagim Kulparkowem!...

Więc, klnąc, na czem świat stoi, zdjąłem znowu spodnie,
I, powlókłszy swą pryczę w cień kwitnących wiśni,
Położyłem się na niej, jak Prokrust, wygodnie
I próbowałem zasnąć!... Może mi się przyśni
W cichym szmerze wietrzyka owo bóstwo wschodnie,
Odaliska, hurysa!... „Błyśnij, cudzie, błyśnij
„Alabastrem białego, pachnącego ciała!...”
Tak ma dusza namiętnie Nieznanej wołała!...

Oj, trzeba było na to wielkiej siły ducha,
Żeby usnąć w sprawianym przez golców harmidrze!...
Ale baśń kwiatu wiśni wonna, białopucha,
Biała, wiosenna wizja, której śmierć nie wydrze,
Przytem autosuggestji siła ślepa, głucha,
Sprawiły, że, pijany wiosną, jak po cydrze,
Zdrzemnąłem, wypuściwszy „Króla Ducha” z dłoni,
Uśmiechnięty Endymjon, słodko marząc o niej...